

WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 51 (273)
Rok VI
25 XII 1966 r.



ZIMOWY KRAJOBRAZ.

CAF — UCHYMIAK

12 CZERWCA 1956 roku w skromnym lokalu Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Rzeszowie zawiązał się Oddział Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza, którego zadaniem była kontynuacja działalności Towarzystwa o tej samej nazwie, założonego we Lwowie w roku 1886 przez grupę historyków literatury. Czy określenie kontynuacja — to jednak właściwe słowo, ilustrujące zadania rzeszowskiego oddziału? — Wydaje mi się, że cel jego należałoby poszerzyć o zmianę zasadniczą, jaka zarysowała się po reaktywowaniu go w 1947 r. — przejścia z bardzo specjalistycznego charakteru i ograniczającego się kiedyś tylko do pracy w dużych ośrodkach uniwersyteckich — na bardziej powszechny, nieomal masowy.

I dlatego właśnie, że miało to Towarzystwo stanowić płaszczyznę porozumienia dla polonistów szkół średnich większych miast naszego kraju, że miało poszerzyć się o wszystkich miłośników literatury polskiej, że celem jego miała stać się praca oświatowa oraz upowszechnieniowa w zakresie tejże literatury — mogło ono powstać w Rzeszowie — mieście przecież przed 10 laty pozabawionym kadry uniwersyteckiej.

Powstało tedy jako 17 oddział krajowy i powstało, co wydaje się godne podkreślenia, jako efekt inicjatywy różnych środowisk kulturalnych Rzeszowa: przedstawicieli muzeum, teatru, radia i prasy, nie mówiąc już naturalnie o tym rzeczywistym członku zrzeszenia — polonistach rzeszowskich szkół. Powstało przy tym w warunkach wielkiego ożywienia kulturalnego, jakie niósł z sobą rok 1956.

Oczywiście, że w czasie 10 lat, dzielących nas od tamtego skromnego zebrania, zmieniło się oblicze To-

warzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza; zmienił się skład osobowy jego członków — ale wzamian wykrystalizowały się niezawodne formy pracy, a sprzeczne działania, które przez parę lat po powstaniu oddziału hamowały jego inicjatywę — przekształciły się w konsekwentnie prowadzone, stałe akcje oświatowe. Znaczy to, że w dalszym ciągu skupia przede wszystkim polonistów szkół średnich Rzeszowszczyzny, w dalszym ciągu jest nastawione na popularyzację literatury pięknej, na działalność naukową sensu stricto, a nawet na działalność wydawniczą, do której zresztą za chwilę wrócić nieco szerzej.

Krystyna Świerczewska

Na jubileusz

Z okazji jubileusza nieco może spóźnionego w czasie, który piękną kłamrą spieła przed tygodniem sesja naukowa poświęcona twórczości Henryka Sienkiewicza, warto wspomnieć o innych tego typu imprezach. Warto wspomnieć, że sienkiewiczowskie sympozjum było czwartym z kolei, że już w 1956 r. miał miejsce Ogólnopolski Zjazd Delegatów w Rzeszowie właśnie, na którym pojawiły się referaty prof. prof. Romana Polańskiego, Juliusza

Nowaka - Dłużewskiego, Kazimierza Wyki, Juliana Krzyżanowskiego oraz Czesława Zgorzelskiego i że największa podówczas sala konferencyjna Rzeszowa w WRZZ okazała się za szczupłą dla licznie zgromadzonej publiczności.

Następne dwie sesje, interesująco pomyślane, zostały niestety, zaledwie w sferze projektów: tak było z tą w 1962 r.; powtórzyła się historia w niecały rok później. Tym razem temat powstania styczniowego w literaturze przekreśliły względy natury sanitarno-epidemiologicznej i ogromna ilość zachorowań w mieście na dur brzuszny.

W ten sposób zasadniczym momentem rozpoczęcia regularnych sesji oddziału stał się 25 kwietnia 1964 r., kiedy to z okazji istnienia dwudziestolecia PRL mówiono w Rzeszowie o powojennym dorobku literackim. I znowu spotykamy tu szereg świetnych nazwisk profesorów: Krzyżanowskiego, Zgorzelskiego, Sawymowicza i Balickiego. W listopadzie zaś tegoż roku obraduje drugie z kolei zgromadzenie nad twórczością Stefana Żeromskiego, a w siedem miesięcy po nim, uświetniając przy tym Dni Rzeszowa odbywa się sesja pod bardzo znamienitym tytułem „Z tradycji kulturalnych Rzeszowa i Rzeszowszczyzny”, tym odróżniająca się od poprzednich, że cała opracowana przez miejscowych nauczycieli i działaczy Towarzystwa.

Traktując te sesje naukowe jako szczególnie uroczystą i pracochłonną część działalności TLM, nie należy zgubić w ich osiągnięciach tej nieco mniej świątecznej pracy oddziału, jego akcji odczytowej, zamykającej się dziś liczbą 70 opracowań na wielce różnorodne tematy literackie. Przewijają się w ich autorstwie znane i świetne nazwiska polskich luminarzy nauki, a odbiór, z jakim się spotykają w środowisku składania do optymizmu i świadczą o zapotrzebowaniu na pewno rzeczywistym (dowodem — kilkakrotnie ponawiane tematy w mniejszych ośrodkach, pozarzeszowskich).

Konieczne także wydaje mi się wspomnieć o interesującej formie pracy wśród nauczycieli, nazwanej może nieco szokująco, niemniej jednak przynoszącej niewątpliwie korzyści jej uczestnikom — o tzw. polonistycznych czarnych kawach, które stwarzają przede wszystkim forum do swobodnej dyskusji nad zagadnieniami literackimi.

Dorobek rzeszowskiego oddziału Towarzystwa wydaje się bezsporny i zasługujący dziś na uznanie, jesteśmy bowiem świadkami pracy uporczywej, konsekwentnej i skierowanej do określonego odbiorcy, jakim jest bądź to przyjaciel literatury, bądź to człowiek parający się nią zawodowo.

Z tym większą przeto satysfakcją bierze się do ręki konkretny ślad działalności TLM — dużą, starannie wydaną publikację, zatytułowaną „Z tradycji kulturalnych Rzeszowa i Rzeszowszczyzny” — jakże przejrzyste opowiadającą o jubileuszu oddziału i zarazem podającą do wiadomości publicznej tę jego działalność, która nosi charakter naukowy. Są tu bowiem publikacje materiałów z poprzednich sesji, jest ciekawy zarys historii rzeszowskiego oddziału. Dają one tym samym rzeczywisty przegląd tradycji kulturalnych Rzeszowszczyzny, a zarazem jej powiązanie ściśle z historią kultury ogólnopolskiej. I tak znajdziemy tu pracę Stanisława Piłonia o Fredrze, esej o „Królu zamczyńska” Seweryna Goszczyńskiego piora Sierotwińskiego, prace Czesława Kłaka o Janie Zachariasiewiczu i Antoniego Jopka o Zygmuncie Kaczkowskim, znaleźliśmy obszerną publikację Jana Grygla o „Ziemi rzeszowskiej w polskiej literaturze współczesnej”, wnikliwy szkic Józefa Nowakowskiego o „Motywach rzeszowskich we współczesnej poezji”, studium Jerzego Pleśniarowicza na temat rzeszowskich tradycji teatralnych, opowieść Marii Noguej o losach przemyskiego „Fre drum”, dalej — specjalistyczne, tym niemniej bardzo interesujące rozważania Stefana Reczka nad onomastyczną przeszłością Rzeszowszczyzny, wreszcie kilka publikacji

Wojciech Kawiński

L a t a

Tego nie wypowiem
a to idzie w nas

bezustannym strumieniem narasta
w głuchym słońcu upału
i krąży
chłodnymi plamami kolejnych zim

Dalekie obrazy —
ciemne lat pamiętanie —
doniosę pod powieką
poprzez rżewienie traw
i suchą północ grudnia

Powietrze zamyka się lekko
gdy ciszę zaludnia



Ludmiła Pietruszkowa

Wiersz o tęsknocie

Tęsknić
to tak jakby w wietrze
wyrzeźbić kształt piękna
i wznieść mu ołtarz
w śródgwiezdnej przestrzeni
a potem Ziemię dźwigając u kolan
pragnąć ów kształt ująć w ręce.

Tęsknić
to po śnieżnych granicach
budzić echa
i strącać je w przepaść
między turnie, zleby
a potem niebo dźwigając u powiek
pragnąć je objąć ramieniem.

Tęsknić
— w prochu ziemi ugrzązłszy stopami
śledzić lot ptaka
wytyczać mu drogę
i ruchom skrzydeł wolności zazdrościć
i swoje serce
w grudce ptaka widzieć.

Wiesław Kulikowski

Białe pola

Rozwinie my białe pola ścian
i na stole zakwitnie śnieg najczystszy

Przymiosę zza Wisłoki zachodzące słońce —
ustawimy je w kącie —
— i szum lasu na progu położymy

— i będą dla nas śpiewać drzewi,

Będą daleko sięgać te kartki,
obejmujące słodkie tarniny —
jak bezdomne ręce



Tadeusz Sokół

Twoje oczy

O twoich oczach pisać wiersze
są jak trawa i jak rzeka
Moja miłość jest nieśmiata
dla mnie pachnie trawą
moja miłość

O twoich oczach pisać wiersze
są jak drzewo i jak wiatr
Moja miłość jest nieśmiata
dla mnie szumi drzewem
moja miłość

O twoich oczach pisać wiersze
są jak pióro sikorki
Moja miłość jest nieśmiata
Znalazłem pióro
i nie chciałbym go zgubić



Jerzy Walawski

List z Krakowa

Zdzisław Kozioł

Trzy zespoły — trzy nagrody

W dniach 11—14 bm. na terenie Tarnowa, a następnie w Krakowie — Nowej Hucie odbył się Ogólnopolski Przegląd Amatorskich Teatrów Poezji i Pantomimy. Przegląd był godzien uwagi ze względu na dobry poziom występujących zespołów, a czytelnika rzeszowskiego niewątpliwie zainteresuje fakt, że jedynie Rzeszów był miastem reprezentowanym aż przez trzy zespoły, z których wszystkie uzyskały nagrody.

W Festiwalu uczestniczyło 20 zespołów, reprezentujących 11 związków branżowych z tyłuż województwa. Festiwalowe ekipy wyłonione zostały spośród 181 teatrów poezji z przeszło trzema tysiącami aktorów amatorów. W dniach festiwalu zaprezentowano publiczności utwory Mickiewicza, Eluarda, Hłumeta, Tuwima, Jasińskiego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Janusza Korczaka, polskich poetów współczesnych, wreszcie poetów afrykańskich.

Tematyka inscenizacji poetyckich i montaży bardzo urozmaicona — od treści pokojowych, antymilitarystycznych, poprzez historię aż do współczesności z całym bogactwem humanistycznej myśli, ludzkich radości i trosk.

Pozwolę sobie zacytować fragment protokołu jury mówiącego o repertuarze:

„dobrze repertuaru, jak i opracowania, interesujące od strony wykonawczej, reżyserskiej i scenograficznej świadcza o rozwoju ruchu amatorskiego w zakładach pracy i o świadomości zaangażowania jego uczestników w twórczą myśl humanistyczną, postępowe tendencje światopoglądowe i humanistyczne”.

Werydykt jury w kategorii teatrów poezji przyznał następujące miejsca: I — Młodzieżowej Estradzie Poetyckiej Zakładowego Domu Kultury Hutny im. Lenina za program „Kiedy znów będę mały”, oparty na tekstach Janusza Korczaka; dwa II miejsca — zespołowi Teatru Poezji Klubu Pracowników Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie za program „Przenikania” (wiersze Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej i fraszki staropolskie) oraz zespołowi Teatru Poezji „Kleks” przy Technikum Górniczym w Wałbrzychu za program „Facecje Staropolskie”, trzy miejsca III otrzymały: zespół Teatru Poezji

GS „Samopomoc Chłopska” w Olecku za program „Ziemia w cud zaklęta”; Teatr Poezji Zakładowego Domu Kultury Kopalni „Katowice” za montaż poetycki „Grunwald”; Teatr Słowa „Meluzyna” ZDK WSK w Rzeszowie za program „Buty generała” oraz Zespół Studia Małych Form Teatralnych „Zielone tarcze” ze Szczecina za „Kwiaty polskie”; wyróżnienia przypadły w udziale: Teatrowi Poezji Domu Kultury „Elworo” we Wrocławiu; Zespołowi Teatru Poezji „Bademus” przy Klubie Gospodarki Komunalnej w Rzeszowie; zespołowi Teatru Poezji ZDK „Energetyk” w Łodzi.

Trzeba stwierdzić, że jury było niezwykle obiektywne, nagrody otrzymały zespoły najciekawsze, te, które najbardziej podobały się publiczności. Nie ma wśród nagrodzonych „Perigeum”, czyli Studia Pantomimy pod patronatem Zw. Zaw. Metalowców w Szczecinie, ale był to przede wszystkim przegląd teatrów poezji i tylko dwa zespoły pantomimy brały w nim udział — jury podkreśliło wysoki poziom artystyczny „Perigeum”.

Jak wypadł Rzeszów w przeglądzie? Trzeba stwierdzić, że bardzo korzystnie. Program Teatru Poezji Klubu Pracowników Szpitala Wojewódzkiego był świetny. Rozmawiałem na temat tego występu z uczestniczącą w jury Wiesławą Szymborską, która podkreślała niezwykle interesującą koncepcję programu, pełną kultury reżyserskiej i wykonania. Słowem członkowie zespołu i jego kierownik, reżyser i scenograf T. Czarnowski może być dumny ze swojego sukcesu.

Zawiodła mnie „Meluzyna”. Oczekiwałem czegoś więcej od tego świetnego zespołu. Darzę go ogromną sympatią, odwiedziłem członków zespołu za kulisami, kiedy zdenerwowani niedociągnięciami natury organizacyjnej oczekiwali występu, ale cóż mogłem im pomóc. Sporo zarzutów dałoby się powiedzieć pod adresem scenografii, trochę natrętnej, pachnącej publicystyką — poza tym sam tekst mi się nie podobał. Poruszając tak poważną tematykę trzeba brać utwory najczystsze, najklarowniejsze — w przeciwnym razie jakaś nutka zabrzmi niezbyt czysto.

Mieliśmy zresztą doskonały przykład na jednym z zespołów, który opracowując poważny program położył go w najdoskonalszy sposób, wywołując uśmiechki politowania zamiast skupienia należnego treści występu. Szkoda, że członkowie „Meluzyny” nie widzieli tej bardzo niedobrej inscenizacji, szkoda, że nie widział jej Buchelt — byłaby doskonałą przestrożką na przyszłość.

Tą krytyczną uwagą pod adresem „Meluzyny” kończę list, mam nadzieję, że na przyszłym festiwalu rzeszowskie zespoły znów zaodoba laury. Życzę im tego z całego serca, pod warunkiem, że będą najlepsi.

„Król Maciuś I” w Baku

W Baku, stolicy Azerbajdżanu, dużym powodzeniem cieszy się gra na scenie Teatru dla Młodzieży sztuka oparta na powieści Janusza Korczaka „Król Maciuś I”. Reżyserował Aleksander Warszawski, w roli głównej występuje Iwetta Rieszniakowa.

Cecylia Błońska

GDZIE DYNÓW, GDZIE LONDYN...

„Wyszliśmy na balkon, szeroko otwierając drzwi ze zbyt nagrzanego pokoju. W chłodnym wietrze wirowały małe zeschnięte złoto-żółte liście i pachane wietrem wlatywały do pokoju. Poza małym rynkiem, którego nisdie domostwa dość nieoczekiwanie przegrodziły okazały blok, rozciąga się przestrzeń wcale jeszcze zielona mimo pierwszych dni zimy, i tak dziwnie ładna, spokojna, trochę melancholijna, że przez moment przypomniały mi się dekoracje do „Trzech sióstr”. Nie, nie te aktualne, najnowsze, ale tradycyjne, z piaszczystą dokładnie obrysowaną malowniczymi drzewami.

Gdzież zawędrował ten kongresowy wniosek — powiedział mi to do nas ni to do siebie delegat z Rzeszowa, który zjawił się punktualnie do minuty, by wziąć udział w naradzie, zorganizowanej w Dynowie w związku z planowanymi Dniami Folkloru Pogórza Dynowskiego.

— No i co? Zawędrował do małego miasteczka; napród wysuwano go kilkakrotnie w przedkongresowej dyskusji we Wzdowie na Uniwersytecie Ludowym, na sejmiku w Brzozowie; zarejestrowaliśmy go kolejno w prasie i aby dowieść, że

nie traktujemy go tak tylko, zjawiliśmy się oto na roboczej naradzie.

W obszernym pomieszczeniu Miejskiej Rady Narodowej, zawieszanej jak przystało, nad samiusieńkim śródkiem miasta, znowu zrobiło się gorąco, gdy tylko zamknięto balkonowe drzwi. Zniknęła czarowna panorama, po to, by w rozmaitych wariantach powracać jako tło dla projektowanych Dni. Rozgrzany piec sypał od czasu do czasu drobnymi iskrami, a w ich blasku obrazki na ścianach nabierały nieoczekiwanej głębi. Co chwila pojawiał się ktoś nowy, witany niby w rodzinie zadowolonym stwierdzeniem „a jednak przyjechałeś”, a wszystko o czym mówiono wyraźnie przeskakiwało zimy, jej niewygody, niewątpliwie trudny, jakie wtenczas przyniosą ze sobą okoliczne zle drogi.

Już się widziało nieomal to Pogórze rozkwitłe majową urodą, zielone, przytulne, atrakcyjne przez swoje nadszańskie uroczyska, gościnne dla wielu setek ludzi, których zamierza tutaj zaprosić, nie bacząc na brak hotelu, na skromność tzw. gastronomicznej sieci.

Od czegoż całe miasteczko namiotów, od czegoż jadłodajnie i bary pod gołym niebem, ładne budynki

szkół, gotowe przyjąć w swoje mury gości, ilu tylko zechce tu przyjechać!

Dość długo debatowano nad programem, o którym można już dzisiaj powiedzieć, że zapowiada się bogato. I już na tym pierwszym szkicu masywnego kalendarza porobiliśmy sobie dyskretne znaki przy tych wystawach, imprezach, w których rzeczywiście pragnęłabym uczestniczyć.

Ale może ważniejsze od samego kalendarium były proste zwyczajne gospodarskie sprawy, w których nurt wciągnięto i działaczy z Brzozowa — ośrodka powiatu, i kierownictwo wzdowskiego UL-u, i gości z „wojewódzkiego szczebla”. Na pewno rozpisany już konkurs na najschludniejsze obejście, najpiękniejszy ogródek, estetycznie udekorowaną wystawę sklepową, dymowianie będą traktowały z pełną zapalą sumiennością. Z pewnością też rozmaite konkursowe imprezy, prowadzone w szkołach wciągną młodzież, angażując do przygotowań najmłodszych gospodarzy. Można liczyć na uczniów przy zbiorze eksponatów dla Izby Pamiątek, którą zaprojektowano w Dynowie, jak i na to, że z dynowskich gospodarstw dzieci dostarczą pieczywo weselne

Na tropach przeszłości

ARCHEOLOGIA jest nauką pasjonującą. Otaczający ją nim romantyczności oddziaływać szczególnie na młodzież, o czym świadczą chociażby duży napływ kandydatów na ten kierunek studiów. Czy młodzież uzręka perspektywami badań w egzotycznych krajach? Rozgłos polskiej archeologii w znacznej mierze związany jest z sukcesami naszych uczonych w Egipcie czy Syrii. Prowadzą oni także poszukiwania w Bułgarii, Francji, Meksyku i krajach skandynawskich. Relacje z tych wypraw naukowych niewątpliwie zwiększają popularność archeologii.

Badaniom prowadzonym w Polsce nie towarzyszy egzotyka, niemniej są one frapujące, gdyż nasza ziemia kryje w sobie wiele śladów zamierzonej przeszłości. Odkrycia dokonywane są często przypadkowo, podczas ark lub robót ziemnych. Zdarza się jednak, że ludzie nieświadomi swego wandalizmu niszczą cenne zabytki. Niekiedy trafiają one do muzeów, lecz nie wiadomo gdzie je znaleziono, co obniża ich wartość jako źródła historycznego. Zabytek anonimowy, wyrwany z pierwotnego zespołu jest trudny do zidentyfikowania. Przypominają mi się liczne anegdoty o „wpadkach” archeologów, którym podstawiano sfałszowane antyki. Bywało, że i wybitni znawcy polykali ten haczyk...

Mimo wzrastającej popularności archeologii, tu i ówdzie pokutuje jeszcze przeświadczenie, że jest ona nauką „niepraktyczną”. Czyżby pozostałość po niemowleństwie wieku archeologii, kiedy uprawiali ją bo-

gaci amatorzy, kolekcjonerzy starożytności? Lecz archeologia z tego wieku wyrosła, dziś w sukurs przychodzi jej inne dyscypliny naukowe, w tym także nauki ścisłe.

Ta młoda, licząca niewiele ponad sto lat nauka, jak najbardziej służy współczesności, chociaż zajmuje się dawnymi ludami i kulturami. Weźmy chociażby pod uwagę wielkie odkrycia dotyczące starożytnych Słowian, które po mistrzowsku spopularyzował Paweł Jasienica w „Swicie słowiańskiego jutra”. Archeologia polska dostarczyła wielodowodów przemawiających za słowiańską przeszłością naszych obecnych Ziemi Zachodnich.

Archeologię wykorzystywali także reakcyjni ideolodzy, np. teoretycy narodowego socjalizmu dla uzasadnienia rasowej i kulturowej wyższości Germanów. Skuteczną walkę z tym kierunkiem podjął wybitny polski archeolog Józef Kostrzewski, który położył ołbrzymie zasługi w wydobyciu z mroków roli Słowiańszczyzny w starożytności.

Inny polski archeolog młodszego pokolenia Jerzy Gąsowski stawia przed tą dyscypliną szczytne zadania. Twierdzi mianowicie, że badacz dawnej cywilizacji może stać się głosem sumienia świata. „Im lepiej poznana zostaje droga rozwoju kultury ludzkiej, im dalej wstecz cofają się jej początki poza mityczną datę biblijną 4000 lat przed n. e., tym większa się budzi troska o aktualny i przyszły stan cywilizacji, o sposób realizowania kontaktów międzyludzkich i międzynarodowych”.

Nie jest to twierdzenie bez pokrycia. Swego rodzaju fenomenem jest wzrastająca w krajach cywili-

zowanych poczynność literatury traktującej o archeologii, wyprawach naukowych, odkryciach. Nauka ta rozwija się również w nowo powstałych państwach zamieszkiwanych przez narody tylko pozornie bez przeszłości; tę przeszłość w dużej mierze odkrywa archeologia.

Praca archeologa przypomina rozwiązywanie gigantycznej krzyżówki której poszczególne elementy rozmieszczone są w znacznej od siebie odległości, w różnych krajach, a nawet na różnych kontynentach. Rozwiązanie tej krzyżówki pozwala poznać wzajemne oddziaływanie kultur dawnych ludzi. Jakże często są to jedne źródła historyczne.

Praca archeologa jest żmudna, wymagająca wiedzy i cierpliwości. Wielkie odkrycia przynoszące sławę nie zdarzają się na co dzień. Trzeba zadowalać się odkryciami na mniejszą skalę, które same w sobie nie są rewelacyjne, lecz zestawione z innymi — wzbogacają naszą znajomość przeszłości.

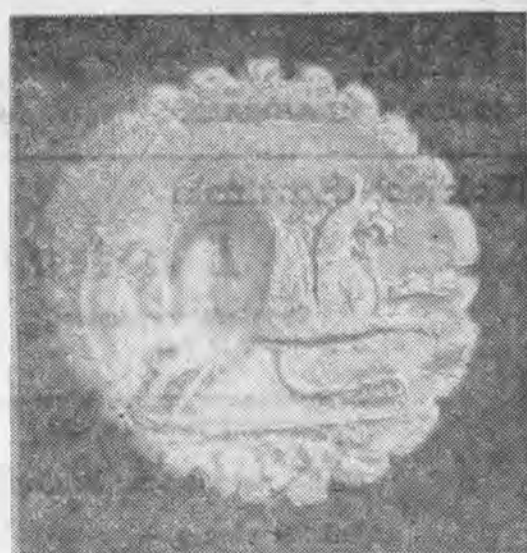
Bywa, że archeolog napotyka w swej pracy niezrozumienie itp. Anna Szałapata z rzeszowskiego Muzeum opowiadała mi o incydencie, jaki przydarzył się pracownikowi naukowemu Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadzącemu badania powierzchniowe w powiecie mieleckim. Ktoś powiadomił milicję o podejrzanym osobniku, który kręcił się po okolicy; chyba jest szpiegiem...

Archeolog był raczej detektywem. Zauważył szczątki starożytnej ceramiki, występujące głównie na piaszczystej wydmie nadwiślańskiej w pobliżu wsi Otałęż. Z wydmy tej eksploatowano piasek, niszcząc

Denar rzymski z 79 roku przed nową erą znaleziony w Otałęży.



Awers: głowa Junony; w lewym polu amfora z zawieszka; obwódka z ornamentem perłkowym.



Rewers: grzyf biegnący w prawo (widoczny w środku pola znak wklęsły prawdopodobnie powstał w wyniku uszkodzenia monety).

Fot. ALEKSANDER HADAŁA

do konkursu na te tradycyjne wyroby.

— Proszę popatrzeć, ma to jakąś wartość muzealną? — Nauczyciel, który przed chwilą opuścił zebranie, spod poły osnieżonego piaszcza wyjmując starannie opakowany drobiazg. Pokazuje dyrektorowi Muzeum pamiątkową plakietkę pokrytą patyną czasu; chciałby wiedzieć, czy to się przyda do Izby Pamiątek.

— Mam taką barwną mapę. Na wszystkie strony świata idą „szrajki” do krajów, gdzie eksportuje swoje wyroby nasza kopyciarnia — informuje ktoś inny, gotowy natychmiast przynieść ją tutaj, pokazać i jeśli trzeba, sporządzić w kilku egzemplarzach.

No — to chyba najodpowiedniejsza okazja, by coś przedsięwziąć dla ratowania zabytków. Co będzie z obiektem w Dąbrówce Starzeńskiej? — troszczy się znany na tym terenie opiekun zabytków, wysuwając tę sprawę jako czołową, nieomal decydującą.

A w miasteczku odbywa się tymczasem targ, furmanki gęsto obstawiły rynek, ustępując jedną jego część samochodom. W sklepach tłoczyli się ludzie, dokonując pierwszych, większych zimowych zakupów. Wróciłam do obradujących, niosąc torbę rumianych soczystych jabłek i dyskretnie pod płaszczem ukryte zawiniątko z kawałkiem mięsistego białego jedwabiu w wielkiej granatowej kropie. Mój sąsiad szybko i zgrabnie lokował w podręcznej teczce parę czarnych wi-

zycowych półbutów, informując w koło teatralnym szeptem, że taki rozmiar to chyba tylko mógł znaleźć w Dynowie. Gdy dodał, że chyba nigdzie indziej, pani siedząca w pobliżu uśmiechnęła się do niego miłym życzliwym uśmiechem.

Rzeczowa dyskusja tymczasem dawno już przeszła w swobodną wymianę zdań: można było zorientować się, że zamierzony wśród mnogości imprez konkurs na najlepszą gawędziarza ma tutaj rzeczywistą szansę.

Nie prezentowali jednak nie ze zbytniego gadulstwa, z owej prowincjonalnej chwalby. Nie mówili na żelazny przy takich okazjach temat, że dawniej nie tak tu bywało. Nie narzekali też na trudności, kłopoty, nie wspominali ani bogatej historii swego miasteczka, ani wielkich zniszczeń, których padło ofiarą, nie chepiłi się też aktualnymi osiągnięciami. Wykazali kulturę daleką od zaścianowości tzw. zapadłej prowincji.

Mają istotnie piękne tradycje: stał już na przelomie XV—XVI wieku na Akademii Krakowskiej studiowało 12 studentów, i to przezwrotnie synów niezamożnego miasteczka. Tutaj nasz przemysł naftowy posiadał oczyszczalnię ropy, tu prosperowała wytwórnia smarów do wozów, fabryka świec z łożu i odpadków z oczyszczania ropy naftowej.

Nie chciałabym uchylać rąbka tajemnicy, gdyż o tym właśnie w dniu inauguracyjnym mówić będzie mgr Jerzy Pleśniarowicz, ale tu właśnie

cenne zabytki. Gruntowne badania prowadzi tam od paru lat pani Szałapata, uważana przez miejscową ludność za poszukiwacza skarbów... Skarbów w potocznym rozumieniu nie znalazła, lecz rezultaty poszukiwań są godne uwagi.

Przed wszystkim 4 srebrne monety rzymskie, denary ząbkowane z 79 roku przed nową erą. Skąd pieniądze Republiki Rzymskiej w nadwiślańskiej osadzie starożytnych Słowian? W oparciu o znalezione ceramikę oraz brązowe i żelazne fibule czyli zapinki, wiek tej osady datuje się na II-IV stulecie nowej ery. Jest to okres wpływów rzymskich, osadę zamieszkiwała ludność tzw. kultury przeworskiej. Nazwa pochodzi od typowego dla niej ornamentyka odkrytego przed wojną przez profesora Uniwersytetu Lwowskiego Karola Hadaczka. Cmentarzisko odkrył prof. Hadaczek w Gaci, w powiecie przeworskim.

Interesująca nas osada starożytnych Słowian leżała na ważnym wówczas szlaku handlowym, wiodącym z południowych prowincji rzymskich nad Bałtyk, po bursztyn. Najprawdopodobniej kupcy rzymscy pozostawili tu srebrne monety. Warto dodać, że znalezione w Otależy denary są rzadkością na naszych ziemiach. Stanowią jeszcze jeden dowód kontaktów Słowian z południem.

Ciekawą zagadką archeologiczną jest to, że monety z połowy I stulecia przed n. e. znalezione w osadzie z II-IV wieku n. e. Czy służyły one wówczas jako środek płatniczy, czy też kupcy rzymscy przywieźli je jako złom srebrny, z którego Słowianie wyrabiali ozdoby? Jak dotąd jest to zagadka. Badania trwają, być może dalsze odkrycia rzuca nieco więcej światła na życie ówczesnych mieszkańców osady.

Wiadomo już, że mieszkali oni w ziemiankach i półziemiankach. Trudnił się rolnictwem i rybołówstwem, a także garncarstwem i tkactwem. Obfitość wyrobów ceramicznych oraz przesiłków (w jednej z ziemianek znaleziono 5 przesiłków) przemawia za tym, że część wyrobów mogły przeznaczać na wymianę. Anna Szałapata przypuszcza, że nieobce im było również hutnictwo żelaza; znalazła sporo żużla, lecz nie natrafiła na dynarki, w których z rudy darniowej wytapiano żelazo.

O zamożności mieszkańców osady świadczą wzmiankowane już fibule uważane za przedmioty zbytku. Zamożności sprzyjało korzystne położenie na ważnym szlaku handlowym. Znalezione zaś wyroby przemawiają za wysokim rozwojem sił wytwórczych. W oparciu o odkrycia archeologiczne można także wnioskować o stosunkach społecznych, ale z tym poczekajmy do zakończenia badań.

Pisałem, że wiele odkryć dokonuje się przypadkowo. Szczepan Skiba, rolnik ze Świerchowej w powiecie jasielskim, podczas orki natrafił na dziwnych kształtów naczynie. Nie wydobyl je sam, lecz powiadomił Wydział Kultury Prezydium WRN. Odkryciem zainteresowali się specjaliści. Podczas wydobycia z ziemi, naczynie rozpadło się, ale archeolodzy zrekonstruowali zaby-

tek, który wzbogacił zbiory rzeszowskiego Muzeum.

Było to naczynie służące do przechowywania zapasów, stąd jego nazwa — zasobowe. Wysokie na 64 cm, w obwodzie mierzy 62 cm, dno zaś nieduże — 26 cm. Spełniało rolę spizarki zakopanej w ziemię. Podobne naczynie odkryto w innych częściach południowej Polski, a także poza jej granicami. Kształty, technika zdobienia itp. wskazują na wpływy z południa.

Ten, oraz inne eksponaty, przypuszczalnie pochodzą z IV-V wieku n. e., a więc z okresu wpływów rzymskich i początków wędrówek ludów. Pani Szałapata, która również w Jasielskiem prowadzi badania, zachowuje wstrzemięźliwość w ocenie odkryć. Sporo natomiast mówi o Szczepanie Skibie, który stał się miłośnikiem archeologii, w pewnym sensie — współpracownikiem archeologów. W oparciu o jego informacje odkryła około 500 kurhanów ciałopalnych. Szczepan Skiba jest jak gdyby ich stróżem; amatorów starożytności czy też poszukiwaczy skarbów nie brakuje...

W pełni podzielam poglądy pracowników Działu Archeologicznego Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, że upowszechnienie wśród społeczeństwa elementarnej wiedzy o ochronie zabytków archeologicznych może oddać nauczycielskie usługi. Takim ludziom należą się rzeczywiście słowa uznania. W Muzeum mówiono mi o licznych przykładach współdziałania z archeologami; wymienię agronoma z Fredrośla Mieczysława Sielskiego, który na swym koncie ma już sporo odkryć.

Nie ma zabytków nieważnych; zna leżony przez Skibę garnki; zapoczątkował serię odkryć, które idą za siebie i zapowiadają sensację archeologiczną. W kurhanach znaleziono dotychczas ceramikę typową dla epoki brązu, lecz także narzędzia krzemienne z neolitu oraz noż żelazny. Wyroby z trzech różnych epok; prawdziwa łamigłówka dla archeologa.

Dotychczasowy stan badań uzasadnia wstrzemięźliwość, ale występowanie tak wielkiej liczby kurhanów nasuwa szereg wniosków. Przede wszystkim obszar ten był gęsto zaludniony, z pewnością znajdował się gdzieś w pobliżu grodziszewo. Badania zwiadowcze będą prowadzone z helikoptera; lesisty i pagórkowaty teren przysparza archeologom sporo kłopotów. Jakże w tym gąszczu szukać śladów grodu? Jesienią, gdy liście opadną a trawy uschną, można z pokładu helikoptera dojrzeć „pojeźdżane” miejsce.

Ciekawość archeologów potęgają rezultaty dalszych badań zwiadowczych. Kierownik szkoły podstawowej mgr Stefan Musiał też natrafił w sąsiednich wioskach na mnóstwo kurhanów. Owalne kopce o wymiarach przeważnie 10 x 6 metrów i wysokości 1 metra leżą nieregularnie, zwykle po trzy, wzdłuż brzegów kilku strumyków wpadających do potoka Dunajek. Czy nazwa potoku nie kojarzy się z Dunajem? Ślad nikły, trzeba czekać na gruntowne badania.

Są one tym bardziej potrzebne i pilne, gdyż południowa Polska jest mało zbadana. Być może kurhany w podjasielskich wioskach kryją tajemnice, będą — mówiąc patetycznie — księgą, z której archeolog odczyta historię ludów żyjących tu przed wiekami.

Jan Grygiel

WIELKIE OCZY PATRZA NA NAS

Woźny gromadzkiej rady narodowej chodził po rynku bijąc w bęben i ogłaszał na cztery strony świata, iż po południu w świetlicy odbędzie się spotkanie z dziennikarzem. W Wielkich Oczach bowiem troskliwie się pielęgnuje tradycje starych miasteczek galicyjskich, w których tak właśnie policjant magistracki zawiadania obywateli o zarządzeniach władz i imprezach publicznych. Wprawdzie miejscowość dawno już przestała być miastem, z dawnej chwały i znaczenia zachowały się tu mizerne resztki, ale mieszkańcy nigdy wewnątrznie się nie pogodzili z tą degradacją. Kurczowo trzymają się wszystkich form przypominających im prawa miejskie i żywą pamięcią jak to „In illo tempore bywało” rekompensują żal do nowszych dziejów.

Kto dziś poza mieszkańcami powiatu lubaczowskiego wie coś o Wielkich Oczach? Tu się właściwie świat kończy. Położone o 18 km na południe od Lubaczowa, a o 1,5 km od granicy państwa, otoczone wielkimi, gęstymi lasami są przeciętną wioską, jakich wiele na Zasianiu. Wioska, do której dobrodziejstwa współczesnej cywilizacji docierają z trudem i niechętnie. Nie leży przy żadnym szlaku wycieczkowym i nie wymieniają jej żadne przewodniki turystyczne. Ma 800 mieszkańców, 200 domów, GRN, 2 szkoły podstawowe, 1 świetlicę, 1 strażnicę OSP, 2 leśnictwa, 4 sklepy GS-u, pocztę... ot i wszystko.

Kiepska wyolbratka szosa wiodąca z Lubaczowa do Wielkich Oczu dalej już nie prowadzi nigdzie.

Wystarczy jednak porozmawiać, lub przysłuchać się rozmowom mieszkańców, by nabrać szacunku do tej skromnej miejscowości. Ileż tu wspomnień, legend, hipotez i pomników dotyczących dziejów Wielkich Oczu. Sama nazwa dawnego miasta pochodzi podobno od 2 owalnych jezior podobnych do oczu, które w połączeniu z całym otoczeniem czyniły osadę podobną do ludzkiej twarzy. Trudno to dziś sprawdzić, gdyż po jeziorach nie ma już ani śladu. Następnie mówi się o tym, że w roku 1648 dotarli tu Kozacy Chmielnickiego i zniszczyli całkowicie Wielkie Oczy i okolice. Ale już w czasie najazdu szwedzkiego w lasach tutejszych Stefan Czarniecki stoczył zwycięską bitwę z Kannenbergiem i zapoczątkował ofensywę wojsk królewskich, która przeszła wzdłuż Sanu i wcisnęła Szwedów w pułapkę pod Sandomierzem. Moi rozmówcy prawie na pamięć umieją te strony „Potopu” Sienkiewicza, na których o tej walce mowa. Podobno sporo rajtarów zostało tu jako jeńców i ich potomkowie żyją do dziś wyróżniając się nazwiskami.

Prawa miejskie Wielkim Oczom przyznał król Michał Korybut Wiśniowiecki i wtedy miasto otrzymało przywilej na cotygodniowy targ i 8 wielkich jarmarków rocznie. Pamięć o tych hucznych jarmarkach konskich, które dotrwały prawie do początków XX wieku zachowała się jeszcze do dziś. Starsi mieszkańcy opowiadają o zjazdach kupców z Pokucia i Wołoszczyzny, o zamykaniu szkół i urzędów w tych dniach, o zyskach, jakie stąd płynęły.

W okolicy Wielkich Oczu miała się rozegrać synna tragedia Gertrudy Komorowskiej i Szczęsnego Potockiego stanowiąca kanwę „Marii” — Malczewskiego. W związku z tym przekonaniem i ten poemat jest tu dość znany. Ojciec Szczęsnego Potockiego był wtedy właścicielem Wielkich Oczu. Spią się także nazwiska innych panów miasta — Fredrów, którzy już rzekomo byli tu w XV w., Lubomirskich itd. aż do niemieckich baronów Edwarda i Stanisława Hagenów.

Te wszystkie informacje zdobywa się tu w ciężkim trudzie. Wszystkie dokumenty miejscowe zostały gruntownie spalone w czasie licznych kataklizmów dziejowych. Trzeba więc skrupulatnie gromadzić wszelkie wzmianki o Wielkich Oczach z monografi i prac historycznych, poświęconych innym regionom i sprawom. A w tutejszym punkcie bibliotecznym takich książek, jak wiadomo, nie ma. Z wielkim zamilowaniem czyni to p. Kazimierz Sawiński — emerytowany urzędnik pocztowy. Należy on do tego typu ludzi, których na szczęście dość często można spotkać w małych miasteczkach i osadach, a którzy są „jak arka przymierza między dawnymi i nowymi laty”, między historią a teraźniejszością.

Opowiada mi o swojej pracy nad kroniką Wielkich Oczu. — „Proszę swojego zięcia — jest profesorem na wydziale rolnictwa we Wrocławiu — i on przygotowuje mi wypiski z odpowiednich dzieł z Osolineum. Pomaga mi też siostrzenica, która w Krakowie studiuje historię. Dzięki nim pierwszy szkic mam już prawie gotowy”. — Ponadto p. Sawiński niezmiernie zbiera po okolicy strzępy dawności w postaci ułamków starych kafli, monet, i rozmaitych przedmiotów sprzed wieków, zasila je nimi zbiory muzeum w Lubaczowie.

Odtworzenie nowszych dziejów dawnego miasteczka nie wymaga tak żmudnej pracy. Cięgi tej historii noszą jeszcze do dziś na plecach starsi mieszkańcy Wielkich Oczu. Wiadomo, że w roku 1900 miasto liczyło przeszło dwa tysiące mieszkańców,

ale że znów w czasie I wojny światowej rynek i część przyległych ulic spłonęły podczas przesuwania się frontu.

Ponadto około 300 ludzi zmarło na tyfus plamisty i cholere. To była pierwsza przyczyna upadku miasteczka. Później, po wojnie, z powodu grasującej pryszczycy zamknięto słynne jarmarki i to był cios ostateczny. W 1927 roku Wielkie Oczy tracią prawa miejskie. Najboleśniej jednak pamięta się tu lata 1944—1948. Wielkie Oczy zostały wtedy w 90 proc. spalone przez bandy UPA. Pierwszy napad odbył się z 14 na 15 sierpnia 1944 roku. 500-osobowa banda spustoszyła i spaliła wieś, wymordowała wszystkich, którzy nie zdołali się schronić w mury kościoła, a sam kościół z zabarykadowanymi w nim ludźmi przetrwał prawdziwe oblężenie. Takie napady i oblężenia wsi potwarzały się ciągle przez 4 lata — banda „Żelazniaka” stosowała wobec całej okolicy ciągły terror.

O tych dramatycznych wydarzeniach dowiaduje się już nie od historyków — amatorów, lecz od ludzi, którzy w tych latach z karabinem w ręku broili Wielkich Oczu. Przew. GRN p. Salwach i referent skupu GRN, p. Furman, pracowali w tym czasie w milicji. Okrutne lata spędzone w walce, porażkach i zgłiszczach związały ich z wioską. Później zrzucili mundury i pozostali tutaj na stałe.

Cóż pozostało po chmurnej i dumnej przeszłości w osadzie? Mury obronnego dworu prawdopodobnie z XVIII wieku, w którego ocalałej baszcie stała dziś młyn parowy, zabytkowy kościół Dominikanów z XVII wieku — twierdza z okresu walk z bandami — cerkiew i synagoga zamienione w magazyny GS-u oraz resztki wałów obronnych. Poza tym całe Wielkie Oczy zbudowano na nowo — skromnie, parterowo, lecz schludnie.

Mówiłem na wstępie, że mieszkańcy wioski czują żal do nowszych czasów. Ale nie jest to nieufność i obrażona bierność. Ileż tu zdrowych ambicji, ile wysiłku, trosk i starań, by żyło się lepiej, nowoczesniej, by uzyskać bliższy kontakt z szerokim światem... Walczy się tu o światło elektryczne, o dobre drogi, o gaz do opalania (Wielkie Oczy leżą na złożach gazu ziemnego), o placówkę kulturalną... I to na ogół z dobrym skutkiem. Wiele angażuje się żywo w czyny społeczne, lecz oczekuje na więk-

4

sięgają pierwociny wiejskiego ruchu amatorskiego. I to bogate tradycje: Adam Fron, nauczyciel we Wzdowie już w r. 1883 wystawiał Aneczka „Flisaków” i było to bodaj pierwsze na wsi przedstawienie teatralne w całości przygotowane przez młodzież wiejską. W samym Dynowie już na początku XX wieku działał teatr amatorski. I obecnie Ochotnicza Straż Pożarna nieraz sięga po laury na amatorskiej scenie. Grywa się tutaj, wspólnie z nauczycielami, „Balladynę” i „Czarowną noc” Mrożka pokazano.

Nie ma się więc co dziwić, że każdy z Dni Folkloru urozmaici plenerowe widowisko. Ze postanowiono wystawić „Wesele bliźnięskie”, i „Wesele domaradzkie”, trzeźniowskie, grabownieckie, i oczywiście szeroko znane i poza Rzeszowszczyzną „Wesele haczwoskie”, zaś teatrolog znowu przypomni, że właśnie we Wzdowie w roku 1911 wystawiono „Wesele” Wyspiańskiego i że był to pierwszy wiejski spektakl.

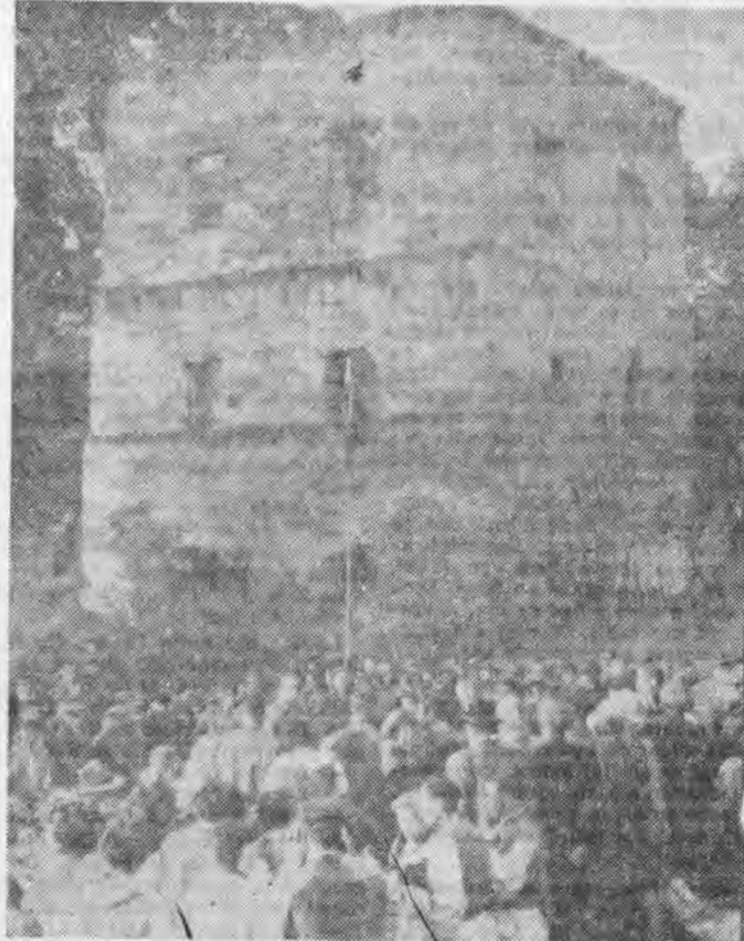
Gdy po naradzie posilaliśmy się w tym samym zespole skromnym, lecz wybornie przyrządzonym posiłkiem w miejscowej gospodzie, rozmowy toczyły się wokół listy przyszłych gości. Kierowniczka Domu Kultury z Brzozowa wymieniła po imieniu i nazwisku młodego górnik, inżyniera, marynarza — synów wiecie lubianej i szanowanej nauczycielki miejscowego liceum wśród tych, którzy koniecznie przyjechać winni do Dynowa na jego wiosenne święto. Ktoś szybko po-

biegi do domu zamłowanego fotografa: jego małżonka, tak jak stała, w płaszczu narzuconym na domową sukienkę przybiegła z wybojem zdjęć, tłumacząc, że mąż jest chory, bardzo żałuje, że nie mógł dzisiaj uczestniczyć w naradzie, a potem pokazała zdjęcia, na których Pogórze otulone śniegiem, prześwietlone słońcem, ze wstęgą Sanu prezentuje swoje uroki tak pogodne, tak bezkonfliktowe, jak to się zwykło pokazywać na noworocznych pocztówkach, tych z najlepszymi życzeniami...

„To także było takie pogodne popołudnie i Londyn wyglądał tak jak na banalnej pocztówce z podróżnikami z podróży. Siedzieliśmy na wspólnym tarasie nowo wybudowanego Royal Festival Hall nad brzegiem Tamizy. Dzień był słoneczny, świetlisty i tak niebieski, jak wówczas, gdy świat chce zaprezentować swoje „najpiękniejsze oszustwo”. Po Tamizie mknęły turystyczne stłaki pozostawiając za sobą smugę wesołej muzyki. Mimo wczesnego popołudnia, w nadbrzeżnych zabytkowych zamkach i w drapaczach chmur pionoły tysiące światła.

Starszy, wykwiśnięty ubrany pan powiedział wtedy do mnie tak, by nie słyszała tego reszta towarzysza, a przede wszystkim jego wspaniała angielska żona:

— Ach, więc wraca pani pojutrze. Może mieszka pani gdzie blisko. San, wie pani, San o tej porze jest tak piękny, że...



Zanim zdołałam mu cośkolwiek odpowiedzieć wstał, bo na sali za chwilę rozpoczynał się koncert filharmonii. Pan pośpiesznie przywołał na twarz wyraz człowieka niezmiernie zadowolonego z prosperity, jaką w sile wieku obdarza go wielki świat.

— Jaki szpital on prowadzi? — zapytałam cichutko, gdy usiadł kilka rzędów za nami.

— Nie szpital. Szalenie elegancką lecznicę. Jego specjalność to neurozy i depresje wynikłe z nostalgii. Miał dużo pacjentów, zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie.

— Ach tak.

Gdy tylko przebrzmiały patetyczne tony koncertu Beethovena, a publiczność powściągliwymi oklaskami nagrodziła znakomitych wykonawców, lekarz podszedł do nas i pochylając się ku mnie jakos niesłychanie dostojnie, zapytał mnie, ale tak cicho i poufnie jakby mi powierzał beczenną tajemnicę:

— Zna pani? Tam nad Sanem było takie miasteczko. Nazywało się Dynów...



Trzeba ratować zabytek w Dąbrówce Starzeńskiej — Dni Folkloru Pogórze stanowią wyborną ku temu okazję — mówi znany na tym terenie opiekun zabytków...

FOT. Z. POSTĘPSKI

Wielkie Oczy patrzą na nas

(Ciąg dalszy ze str. 3)

szę zrozumienie swych potrzeb u władz.

Spotkanie w świetlicy było udane. Świetlica oświetlona skąpym światłem lamp naftowych wypełniła się ludźmi w kufajkach, kożuszkach, kurtkach... Uzbrojeni w laski i laski, w zabłoconych gumniakach przybyli tu z całej wsi. Jak się później dowiedziałem, każdy przyjazd kogoś obcego jest tu wydarzeniem. Ludzie są spragnieni kontaktu ze światem, imprez, spotkań czy odczytów. Wysłuchali w skupieniu tego, co miał im do powiedzenia dziennikarz, a później zaczęli ożywioną rozmowę. Mieli żal do prasy, że o Wielkich Oczach tak w świetle głucho, że nie pomaga im w ich wysiłkach o przeobrażenie wsi, że tak rzadko tu dziennikarze docierają. A później prosili o konkretną pomoc. O apel do Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych w Przemyślu, by podjął wreszcie przerwane prace nad drogą do rynku w Wielkich Oczach. Mieszkańcy wsi toną w błocie w samym centrum i nie mogą urządzić sobie parku. Żądali, by przypomnieć o obietnicy doprowadzenia światła elektrycznego do wsi w roku 1967-68. Oby nie doszło do jakiejś nowej zwłoki. Skarżyli się na zbyt mały udział finansowy Dyrekcji Lasów Państwowych, Kopalnictwa Naftowego i GS-u, w budowie dróg lokalnych.

Wiele kłopotu następcza mieszkańcom budowa w czynnie społecznym wiejskiego ośrodka kulturalnego. GRN podjęła się 4 lata temu adaptacji murów zabytkowego dworu obronnego na ten właśnie cel. Ma tu się mieścić świetlica, biblioteka, kino wiejskie, lokal GRN, ośrodek zdrowia, lokal dla ZMW oraz sala teatralna. Dużą pomoc w tym ambitnym zamierzeniu dał gromadzie Wydział Kultury Prez. WRN — przekazując na odbudowę 800 tysięcy złotych. Ale realizacja inwestycji przeciąga się, gdyż podobno brak wykonawców i potrzebnych materiałów do budowy. Wprawdzie po długich poszukiwaniach znaleziono wykonawcę aż z Radomia, lecz ponieważ prokuratura wszczęła przeciw nim śledztwo za jakieś dawniejsze sprawy — budowa została przerwana. Obecnie nikt nie chce się podjąć prowadze-

nia dalszych prac, gdyż przeszkadza w odbudowie pracujący w ocallej wieży młyn parowy. Jego maszyna napędowa wstrząsa bez przerwy murami, a to uniemożliwia wykończenie obiektu. Zastanawiano się nawet, czy nie byłoby lepiej zaadaptować dla potrzeb wiejskiego domu kultury, starej synagogi (zupełnie w dobrym stanie), a stare mury przykryć dachem i oddać GS-owi na magazyny. Koszt byłby o wiele mniejszy i kłopotów sporo spadłoby z głowy — twierdził mieszkańca.

Oglądałem później obydwa obiekty. Niestety, synagoga jest za mała, by pomieścić cały kompleks placówek kulturalnych i ośrodek zdrowia. Ale zarysowuje się inna możliwość zrealizowania inwestycji. Pobliskie Kopalnictwo Naftowe, gdy już obiekt zostanie wykonany w stanie surowym, mogłoby finansować prace wykończeniowe, wyposażenie wnętrza i nawet znaleźć etaty dla prac k. o. Wtedy byłby to doskonały przykład wzorowej koordynacji — jedna placówka, utrzymywana wspólnie, pełniłaby równocześnie funkcję zakładowego klubu i wiejskiego domu kultury. Nie wątpię, iż Kopalnictwo Naftowe ma na to środki w swoich funduszach socjalnych. Ostatecznie około 70 osób z Wielkich Oczu pracuje w Kopalnictwie — warto więc wsi pomóc.

Na marginesie chcę dodać, że mieszkańcy wsi, a zwłaszcza władze gromadzkie, winny usilnie się starać o zlikwidowanie pewnych rozbieżności, a nawet zarysów konfliktów między zakładem a wsią. Nie to jest najważniejsze, że kopalnictwo niszczy drogi ciężkim sprzętem transportowym, że wycina stare drzewa parkowe przy budowie drogi do hotelu robotniczego, że nie zawsze dostatecznie się liczy z uprawnieniami i opinią GRN. Te problemy przy obopólnej dobrej woli da się pomyślnie rozwiązać. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że miejscowy przemysł jest wielkim dobrodziejstwem dla Wielkich Oczu i stanowi szansę ich rozwoju na przyszłość. Tą drogą wkroczy do wioski cywilizacja i nowoczesność.

Jeden z mieszkańców prosił, by pomóc wsi w uzyskaniu gazu jako opału. — „Na budowę sieci gazowej na razie nas nie stać — stwierdził. Czy nie mogliśmy jednak

korzystać z butli napełnianych gazem? Orientujemy się, iż zaczyna się je u nas w Polsce wprowadzać. Prosimy, by nam ktoś ułatwił ich nabycie — dlaczego mamy niszczyć lasy, gdy pół Polski pali naszym gazem, a my pradziadowskim szlakiem wozimy drewna z lasu? Trudno odmówić słuszności tej argumentacji.

Nie brakło nawet postulatów nie-realnych. Wystąpienie człowieka, który domagał się przywrócenia praw miejskich Wielkim Oczom spotkało się z oklaskami. Nie wy-



FOT. J. MENDYCHOWSKI

Na jubileusz

(Ciąg dalszy ze str. 1)

z zakresu nauki, oświaty i ruchu wydawniczego, w których pojawiają się nazwiska Pauliny Paślowskiej, Stanisława Frycy, Tadeusza Stanisza, Henryka Syrczyńskiego.

Pierwsza tego typu publikacja zbiorowa daje obszerny wgląd, w czterech osobnych działach, w sprawy kulturalno-literackie naszego województwa, świadczy o jego prężności, o zainteresowaniu, jakie budzi ziemia rzeszowska wśród twórców i naukowców; świadczy przy tym o pozytywnej roli samego Towarzystwa, jej patronującego.

Nie należy przy tym zapominać, że jego jubileusz dziesięciolecia przypada na czas o wiele korzystniejszy, aniżeli sam moment powstania: Rzeszów ma już swoją własną uczelnię typu humanistycznego, ma obiecujące kadry specjalistów, którzy zresztą poważnie poszerzyli szeregi członków oddziału. Oddziału coraz widoczniej plasującego się na pozycjach poważnej placówki, mającego wreszcie szansę pójścia w ślady prac znanych ośrodków naukowych, nie tracąc zarazem nic ze swoich zasadniczych celów masowego upowszechniania literatury.

Miejmy przeto nadzieję, że następne jego dziesięciolecie przypieczętuje równie uroczysta sesja, jak ostatnia — sienkiewiczowska, na której usłyszymy równie pasjonujący wykład, co ów — profesora Wyki o inspiracji sienkiewiczowskiej trylogii, doświadczeniami amerykańskimi pisarza i schematami klasycznego westernu, (który to wykład jako zafascynowana słuchaczka pozwoli sobie uznać za najpoważniejsze wydarzenie sesji, nie ujmując naturalnie tym stwierdzeniem nic z urody ni erudycji innym referatom) — ale będzie to wykład rzeszowskiego kontynuatora pięknej sztuki interpretowania literatury, jakiej tajemnicę od dawna posiadał Kazimierz Wyka, zachowując dla siebie po dziś dzień wyłączność tego przywileju...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

aleksander btachowski

NOC

CZTERYTYSIĘCZNA PIERWSZA

Karp waży ponad dwa kilogramy. Jest tłusty. Rzadko rozrzucone na skórze łuski błyszczą złotawo. Otuliera pysk i wytrzeszcza ślepia.

Widzisz jak jest? Trzepoczesz się w siatce. Powietrze rozsada ci skrzela. Dziwisz się. Nie ma się co dziwić. Mnie brak powietrza, a tobie za dużo. Taki jest świat. Ty tego nie wymyśliłeś ani ja. Męczysz się — fakt. Ja też. I dlatego jesteś mi bliższy.

Po cholere go kupiłem? Bydło duże i ciężkie. Targam go ze sobą i pokazuję miasto. Niech ma. Przed śmiercią.

Widzisz tu, bracie, mieszkałem w czterdziestym dziewiątym. Byłem zielony, chciałem do czegoś dojść, tyrałem jak dziki osioł. Praca, szkoła, praca, szkoła... A rano i wieczorem gimnastyka między łózkami. Stójka, szpagat, mostek, stójka... Chciałem mieć kondycję. Idiota! Zamiał pić, bawić się z dziewczynami — stawałem dęba.

Co, dusisz się? Czekaj, muszę coś wymyślić, bo zdechniesz zanim skończy się wigilia.

— Proszę normalny i za zwierzę.
— A gdzie ono?
— W siatce.

— Za przewóz pojedynczych ryb nie ma taryfy.
— To przyjaciel, nie mogę go wziąć na gapę.

— Coś pan pijany, czy z choinki?
— Nie piłem. Nie mam choinki. Mam karpia przyjaciela i nie chcę, żeby źle o mnie myślał.

— Panie, dziś wigilia, nie mam zdrowia dla wariatów. Chcesz pan, to piąć pan i dobra.

No, widzisz, bracie, jesteś gorszy od psa. Za psa żądają, a ciebie dla nich nie ma. Ludzie już nie rozumieją prawdziwej przyjaźni. No, nie zasypiaj, zaraz sobie pooddychasz.

Rzeka jest ponura i zła aż jej się skóra marszczy. Straszy zmnem i brudem.

No, masz tę swoją wodę. Dobrze, co? Nie szarp się. Nie będę za tobą skakał. W wodzie jestem do niczego.

Czemu wywalasz gały? Nie jest dobrze, ale na to mam jeszcze czas. Tu niedaleko byłem raz w lecie. Dwanaście lat temu. Wtedy to wszystko się zaczęło. Powiedziałem jej prawdę. Ta miłość była jej niewygodna, mnie też. Ale czy ma się na to wpływ? Poita mnie różnymi lekarstwami. Kiedyś datka była za mocna i poszedłem się wykapać. Niech woda sama zatłowi — pomyślałem — co się będę wysilał. A tu nic. Czy rzeka była ciężka od brudu, czy ja bez obiadu za lekką, dość że zniósł mnie na boję. Dlatego dziś możemy być razem. A rzeki odgad nie lubię. W niej nie można się nawet przyzwoicie utopić.

No, dość chyba. Jeszcze trochę pożyjesz, choć będziesz się dusił. Żal mi ciebie, ale jesteś mi potrzebny. Nie wiem co byś zrobił, gdybym to ja był w twojej siatce, ale szczerze mówiąc nie to mnie obchodzi. Wszystko trwa na zasadzie przemocy. Mam prawo mieć chociaż swojego karpia!

Koncert. Stoję za nią. Chciałbym dotknąć jej ręki. Widzę tylko jej głowę zastuchaną, nieobecną... Tak

bardzo zastuchaną. Każdy następny akord otwiera we mnie nowe ciężkie drzwi, a przez nie sięga coraz głębiej miłość i krzyk. Chopin swoje, a ja swoje. I tak to wszystko się spiata, że chyba dla nas Chopin napisał tę muzykę. Ona zabrania czułych gestów. Jest nieublagana w tym swoim przekonaniu, że mnie nie kocha. Stoję więc, słucham i modlę się do niej o uśmiech. Odwraca głowę, uśmiecha się, ale widzi tylko muzykę.

Wysiadzimy tutaj, wiesz. Jest tu okno, o nim nikt nie wie. Kiedyś wyłem pod tym oknem. Co dzień. Nawet gdy już jej tam nie było, nawet gdy już jej nie było w ogóle. Później unikałem tej ulicy i okna, bo musiałem wyć. Sprawdzimy teraz. Tylko się cholera nie śmieje, bo łeb rozwałę. Słyszysz? Już się zaczyna ten przekłety kurantowy polonez. Zawsze go tu słyszę i muszę wyć. Widzisz, czy to w porządku?

No co? Znowu ci niedobrze? Niech to diabli! Kto wymyślił, że ryby muszą oddychać w wodzie. Halo! Taxi!

— Panie, szybko nad rzekę!
— Gdzie nad rzekę?

— Do wody!

— Coś pan z choinki?! Wystadaj ptaku, bo mi wóz zarzygasz!

— Proszę, niech pan potoczą... Jestem trzeźwy jak mój przyjaciel, tylko bardzo nam się spieszy do wody.

— Gdzie ten przyjaciel?
— Tutaj, w siatce. Panie, szybko, bo zdechnie, i co będę robił z martwym przyjaciele. Do rana daleko.

— Z wariatami nie jeżdżę. Wyśiadaj. Ale już!

Ludzie nie mają łtości. Co temu taksjarszowi zrobisz? Nic. A skazuje cię na śmierć. Mnie też nic nie zrobisz, ale jesteś moim przyjaciele. Dla przyjaciela można się trochę pomęczyć. Ale nie za dużo.

— Halo!
— Lecę za rzekę.
— Dobrze, wysiądę przy moście.

Jesteś uratowany. Tylko nie zasypiaj. Dopiero jedenasta. Co ja zrobię bez ciebie w taką noc? Jeszcze trochę, zaraz będzie woda.

— Z kim pan gadasz?

— Eee... nic, tak sobie... Wie pan, wigilia, to człowiek chce pogadać.

— Ze sobą?

— Nie z... wie pan, różnie bywa.

— A, no, bywa. No, już rzeka.

— Wysiadam. Dycha starczy?

— Dziękuję. Wesolych świąt!

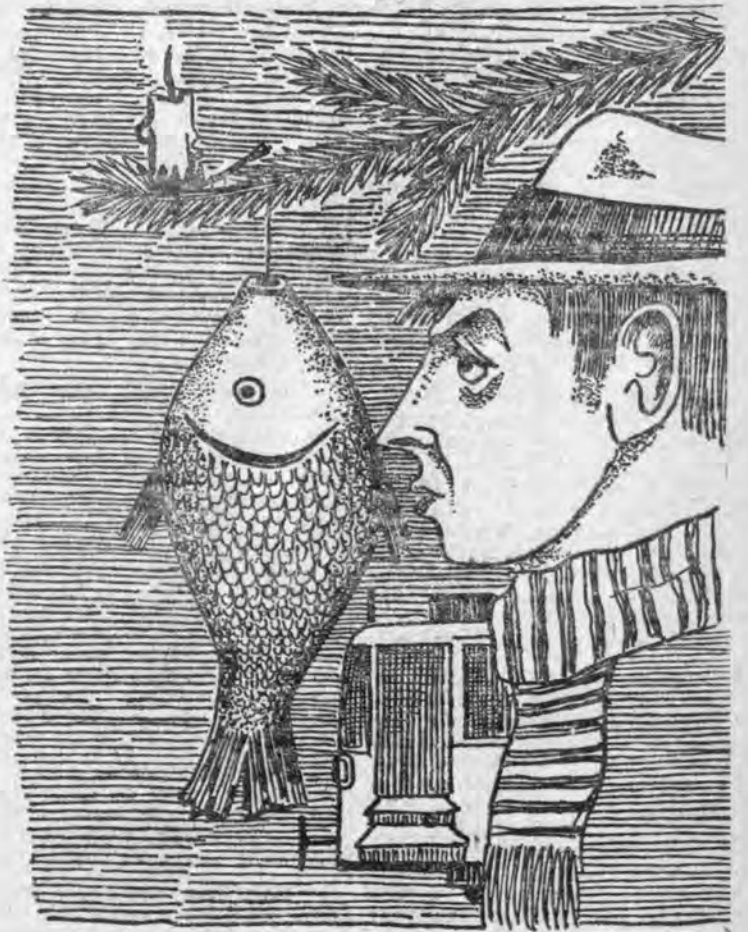
— Wesolych, wesolych...

Pij tę wodę, pij. Też bym się napił, ale nie znoszę rzeki. Chociaż jak się zastanowić... Płynię sobie po ciemku, czy w dzień, uciąć w jedną stronę i zawrócić nie może. Jak ja...

— No, co, odżyłeś? To pójdziemy na stare miasto. Muszę pokazać ci jeszcze parę miejsc. Zresztą rzeka jest blisko.

— Co ty robisz? Wydalasz brzuch? Jeszcze czas! Oddychaj, oddychaj. Znudziłem ciebie. Ty też mnie zawadzisz.

— Co robisz z tym karpem? Może go gdzieś podrzucić — przecież nie zjem przyjaciela. Może spotkam kogoś... Ale wszyscy w domach, przy stołach, świecą choinki. Chyba pójść piechotą, może po drodze coś wymyślę.



RYS. J. SIENKIEWICZ

Julian Woźniak

W KARNAWALE MODNY... JACOK?!

(FESTIWAL KULTURALNY ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH)

Wkraczamy w okres karnawału. Znowu rozjarza się kinkiety sal balowych, zapelniają się taneczne parkiety... Toteż właśnie taniec — jest dziś tematem na czasie!

Jak tańczymy? Już pobieżna obserwacja tańczących upewnia nas w przekonaniu, że tańczymy, mówiąc delikatnie, nie najlepiej. Tylko nieliczni mogą wykazać się pełną kulturą tańca towarzyskiego. I te właśnie pary na każdej zabawie stanowią nie lada atrakcję.

Tak było ostatnio w Stalowej Woli. Na zorganizowany w tym mieście, w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, wojewódzki turniej tańca towarzyskiego przybyło kilkaset osób. Hala sportowa raz po raz reagowała brawami, gdy na parkiecie popisywały się tancerze trzech, działających na terenie naszego województwa, klubów tańca towarzyskiego: Zakładowego Domu Kultury WSK i klubu Związku Zawodowego Kolejarzy z Rzeszowa oraz ZDK Górnik - Naftowca z Krosna.

Każdy z zespołów miał obowiązek zaprezentować trzy tańce: standardowy, Ameryki Południowej oraz ludowy. W tej ostatniej pozycji chodziło o opracowanie tańca ludowego lub narodowego w charakterze tańca towarzyskiego, bo przecież większość najmłodszych obecnie tancerzy wywodzi się właśnie z form ludowych. Dlaczego więc nie mielibyśmy czynić poszukiwań za czynnikiem a r o d o -

gury. Za dużo w nim było tańca dla publiczności, a za mało, stanowczo za mało — zabawy. A o to przecież chodzi.

Tancerze z Krosna, to członkowie Młodzieżowego Klubu Tańca Towarzyskiego. Przed rokiem zgłosili się na kurs tańca, zorganizowany przez kierownictwo Domu Kultury i po zakończeniu nauki postanowili tańczyć nadal, podnieść swoje umiejętności. W ten sposób powstał klub, którego instruktorem jest Zbigniew Więcek. Krośnianie nie osiągnęli jeszcze wysokiego poziomu. Brak im turniejowej rutyny i pewności siebie, a przy tańcu towarzyskim jest to przecież jeden z najistotniejszych elementów. Tańcząc nie można mieć wystraszonych min, drżeć przed komisją i widownią. Trzeba się w tańcu bawić, partnerzy muszą ze sobą nawiązać kontakt, ich twarze musi rozjaśniać uśmiech. Zwłaszcza w tańcach południowoamerykańskich. O tym młodzi krośniancy entuzjastycznie tańca towarzyskiego, którzy w swej pracy znajdują się na dobrej drodze, muszą koniecznie pamiętać.

Nie tylko zresztą oni. Odnoś się to w równej mierze do członków zespołu kolejarzy, a także do niektórych tancerzy z zespołu ZDK WSK Rzeszów.

Klasą dla siebie jest w tym zespole para: Barbara i Adam Ko-

nieczni. To już klasa europejska. B. i A. Konieczni odnieśli przecież piękne sukcesy na parkietach Czechosłowacji, NRD i NRF. Spotykali się z najlepszymi z najlepszych, a w konfrontacji z nimi klasyfikowani byli wcale nieźle. Dość wspomnieć, że na zorganizowanym ostatnio Międzynarodowym Turnieju Tańca Towarzyskiego, nasza rzeszowska para sklasyfikowana została wyżej niż mistrzowie Polski w tej dyscyplinie artystycznej: Barbara i Artur Wieczyński z Krakowa.

Toteż stalowowska publiczność gorącymi oklaskami nagradzała każde pojawienie się na parkiecie naszych mistrzów. Tańczyli oni z zespołem i — poza konkursem — solo. Z solowych występów szczególnie podobał się quick-step, cha-cha-cha i samba. Z programu zespołu szczególnie przypadła publiczności do gustu walc angielski i pasodoble. W tańcach tych zbyt widoczna jednak była różnica poziomu między Koniecznymi a pozostałymi trzema parami. Niektórzy nie mogli sobie poradzić, zwłaszcza z trudnymi do wykonania figurami walca angielskiego.

Na moment ten zwróciła m. in. uwagę komisja oceniająca. Zaproponowano nawet, że: „Lepiej by było, gdyby Barbara i Adam Konieczni wycofali się z zespołu”. Sugerowano nawet, by taki warunek postawić w protokole... Na szczęście nie wszyscy członkowie komisji byli tego zdania.

Bo przecież absurdem byłaby propozycja wycofania „Czarnej Perły Mozambiku” — Eusebia z reprezentacji Portugalii, gdyż poziomem swej gry odbiega od pozostałych kolegów. Niech inni dociągają do jego poziomu. Niech jego efektywna i skuteczna gra liczy się dla zespołu.

Podobnie powinno być z Koniecznymi w zespole ZDK. Adam Konieczny jest jednocześnie instruktorem tego zespołu. Niech więc tańczy, a inni niech się uczą i... równają do Koniecznych!

W efekcie końcowym komisja festiwalowa, powołana przez CRZZ, wytypowała obydwaj rzeszowskie zespoły tańca towarzyskiego do udziału w przeglądzie centralnym Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Życzymy im wszystkiego najlepszego!

A swoją drogą, domy kultury, kluby i świetlice większą niż dotychczas uwagę powinny zwrócić na podnoszenie kultury tańca towarzyskiego, organizując jakże potrzebne naszej młodzieży kursy taneczne. Zbliżający się karnawał jest do tego świetną okazją. Chętnych z pewnością nie zabraknie. Ja zgłaszam się pierwszy.



Zespół taneczny ZDK „Kolejarz” w Rzeszowie. FOT. J. OLMA

w y m w bogactwie choreograficznym naszych regionów? Kto wie? Może np. polka tremblanka czy jacok, opracowane na użytek współczesnych, z powodzeniem wyprą z parkietów świata let-kissa, madisona czy innego twista?! A więc próbujmy, odkrywajmy!

Oczywiście nie jest to sprawa prosta ani łatwa. Nie każdy może stać się twórcą nowego tańca, jakkolwiek opartego na znanych wzorach. Niemniej jednak wszystkie trzy zespoły pokusiły się na dokonanie prób w tym zakresie i w ten sposób na stalowowskim parkiecie zobaczyliśmy mazurę, kujawiaka i poloneza tańczone, jak to się określa, użytkowo. Próby nie powiodły się jednak. Wprawdzie kolejarze bardzo ładnie zatańczyli kujawiaka, a metalowcy popisali się pięknymi krokami mazura — w sumie jednak były to tylko tańce ludowe. Osobiście uważam, że należałoby poszukiwania czynić w naszym rzeszowskim regionie.

O wiele lepiej uczestnicy turnieju radzili sobie z dwiema pozostałymi grupami tancerzy. Zespół Klubu ZZK, którego instruktorem jest Janusz Niżański, wystąpił z niezwykle pomysłowo opracowaną wiazanką tancerzy towarzyskich oraz let-kissem i cha-cha-cha. Podczas gdy wiazanka opracowana została bardzo dobrze, zatańczona w tempie i zgraniu wszystkich par, to dwa pozostałe tańce były raczej niedopracowane. Zwłaszcza let-kiss był zbyt ubogi w jakże charakterystyczne dla tego tańca fi-

Karl Matuszek: **ALA I JEGO BANDA**. Przeł. z niem. Maria Kłoc-Gwizdzka. Wwa 1966, Iskry, s. 220, cena 20 zł. Akcja tej przygodowej powieści rozgrywa się w Niemczech w okresie międzywojennym. Wartością jej jest nie tylko żywa fabuła, ale również tło społeczne. Szczególnie dla młodzieży.

Wacław Skrzowski: **Z JOHNEM BARLEYCORNEM**: Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 46, cena 3 zł.

Jest to XXXII tomik Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej, a ósmy zbiorek wierszy liryczno-refleksyjnych poety starszego pokolenia. Zbigniew Jankowski: **ZAR**. Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 32, cena 3 zł. Autor (ur. 1931 r.) mieszka obecnie w Kolobrzegu. Jest to czwarta z kolei publikacja książkowa. Tomik poetycki łączy w całość wspólna tematyka. Motto brzmi: „1 czerwiec 1943 r. hitlerowcy wymordowali prawie wszystkich mieszkańców podzamojskiej wsi Sochy...”

Bolesław Prus: **ANTEK**. Wwa 1966 PIW s. 44, cena 1 zł.

Masowe wydanie tak poszukiwanej przez młodzież pozycji lektury szkolnej. Stanisław Wyspiański: **WARSZAWIANKA**. Wwa 1966, PIW, s. 123, cena 10 zł. Wstęp: Aniela Lempicka. Ponadto 16 recenzji, artykułów i rozprawek, m. in. Tadeusza Boya-Zeleńskiego, Tadeusza Sinki, Juliusza Saloni, Leona Schillera i in. Bibliografia.

Janusz Meissner: **DLA ZWYCIĘSTWA**. Wyd. II. Wwa 1966 Iskry, s. 302, cena 10 zł. Bibl. Powszechna.

Autor „Szkół orla”. „Zdąca Genowefy”. „Jak Lucy” wraca do swojej ulubionej tematyki — lotnictwa. Tym razem akcja powieści umiejscawia kolejno we Francji, Anglii i Afryce. Oczywiście okres II wojny światowej, ale nie o walkach powietrznych, zestrzeleń, lecz

o trudnej, a odpowiedzialnej pracy lotnictwa transportowego. Ciekawe też polityczno-obywatelskie Czarne Lądy. Tadeusz Broniewski: **MICHAŁ ANIOŁ BUONARROTI**. Wrocław 1966, Ossolineum, s. 88, cena 10 zł. Monografia człowieka, o którym Roman Rolland powiedział: „Kochał i nie nawiązał wielu — jego nie kochał nikt”. „Ten współczesny Leonard da Vinci człowiek był malarzem, rzeźbiarzem i poetą. Celował we wszystkim. 29 ilustracji.

Andrzej Sołtyś: **MECHANIKA UKŁADU POJAZD — TEREN**. Wwa 1966 MON, s. 456, cena 14 zł.

Przeznaczona dla inżynierów mechaników, konstruktorów pojazdów mechanicznych, pracowników naukowych i studentów książka zawiera problem ruchu pojazdu mechanicznego w warunkach terenowych. Stanisław Markiewicz: **SPADKOBIERCY KRZYŻACKICH TRADYCYJ**. Wwa 1966 MON, s. 456, cena 22 zł.

Opis i analiza najnowszych wydarzeń w trójkącie Watykan — NRF — Polska. Przeprowadzona przez S. Markiewicza analiza działalności papieża oraz kościołów i chadecji w NRF pozwala głębiej zrozumieć genezę orędzia (do biskupów niemieckich) i jego polityczną wymowę. Viola Sachs: **IDEE PRZEWODNIE LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ**. Wwa 1966 PWN, s. 173, cena 10 zł. „Omega”.



Nie po raz pierwszy może, ale wszak rzadkie to wypadki, by zmuszono nas do publicznej dyskusji na tematy tak pryncypialne jak moralność, wzorce postępowania, ideały — i to zmuszono poprzez program telewizyjny, nazwany może nie najszczęśliwiej „Plebiscyt Archimedeusza”. Program, od razu zrobił zastrzeżenie, tak ogromne w czasie, składający się z tylu elementów różnych (teatr, wywiad, dyskusja, informacja), z takim nakładem wysiłku realizowany, że z góry zapowiadający się jako wydarzenie.

Michał Anioł, Kopernik czy Muentzer — to jest wybór już u podstaw zamysłu niernormalny dla mnie. O Koperniku wie każdy od 7-latką wzwyż, o Michale Aniole — mniej więcej od czternastolatka co drugi człowiek, o Muentzerze — jeden z moich znajomych, humanista, interesujący się przy tym mniej więcej każdą dziedziną życia po trosze, zapytał — a kto to taki? A więc, po pierwsze dysproporcje popularności.

Po drugie — i chyba najważniejsze — dysproporcje postaw, dysproporcje znaczeń w działaniu, dysproporcje w dorobku, który na stałe przetrwał w kulturze ludzkiej. I wreszcie — co nie jest bez znaczenia — dysproporcje między obroną a koreferatem, wygłoszonymi przez znawców rzeczy w atmosferze co najmniej wielkiego trybunału i z przewodniczącym Eugeniuszem Pachem w roli przewodniego sędziego, który z góry feruje wyroki. Oczywiście, że ta strona zagadnienia zdaje się bardziej przynależać do zjawisk technicznych i obiektywnych, bo nikt nie odbierze wdzięku causera Zonnowi, smętku liryka — Zinowi, rzeczowości — Ozde-Michalskiemu, kiłolitego zacietrzewienia tego — co — wie — najlepiej — Kąkolowi i rozbrajającego staroświeckiego wyznań — Koźniewskiemu. Ani też nikt nie jest w stanie zgromadzić piątki prezydentów moralnych archetypów, która by jednocześnie reprezentowała ten sam poziom wiedzy, ten sam współczesny atrakcyjności przy jej poddawaniu milionom widzów. A więc zgódźmy się, że plebiscyt Archimedeusza został oparty przede wszystkim na dysproporcjach.

Bronił Michała Anioła Francois Mauriac — broniał na zasadzie tego samego przewrotnego chrześcijaństwa, jakie było udziałem renesansowego twórcy. Ktoś kiedyś powiedział o Mauriacu, że jego osobliwy katolicyzm przysparza Kościołowi więcej kłopotów aniżeli gromada heretyków, jawnie głosząca swój ateizm. Podchwycił tę niteczkę prawdy Zin i rzucił piękne sformułowanie, że ów twórczo pod dyktando papieża i mojących Michel-Angelo z Boga uczynił postać ponurego rzeźnika, a w ciele ludzkim szukał zmysłowej uciechy, urody, słowem — tego, co Kościołowi nigdy miłe nie było. Mówił, że Michał Anioł pracował jak tytan i zarzekał się ironią spowił kawiarniane smagania twórcze współczesnych artystów.

Zakrzyczano Zina, bo mówił subtelnie, na półtonach, więcej dając do zrozumienia niż agituując. Takie agitatorem nie miał szans w konkretnym świecie prawniczej precyzji Kąkole. I źle, że nie miał szans. I źle, że tak u progu dyskusji dyskwalifikowano podmiot jego interpretacji.

Mówił o Koperniku Zonn — slicznie, jak zwykle, inteligentnie jak zwykle i odkrywczo — także jak zwykle. Przekonał do Kopernika. Przede wszystkim tym, że nie lansował teorii o obrotach ciał, ale tę prymarną wielkość myśli kopernikowskiej, która polegała na uwolnieniu widzenia rzeczy, na budowaniu jednej prawdy z gamy półprawd, wyobrażeń i przypuszczeń.

Spór o Muentzera — rozciągnięty w czasie — właściwie nie był sporem, ale wielostronną obroną postaci; gdyby nie Koźniewski, negujący jej wartość wzorcową, byłby ten spór niemal apologią. Dlaczego tak się stało? — Myślę, że zupełnie podświadomie wyszła tu prawda pierwsza o dysproporcji popularności i dorobku, który przetrwał w historii ludzkości. Muentzerowi trzeba było wielu słów, by móc postawić go na równej płaszczyźnie z dwoma nazwiskami, które świat zna doskonale — w tym z jednym, które odbierał czas szkolnej wiedzy każdego siedmioletniego Polaka jako symbol rewolucji naukowej.

O specyficznych cechach i warunkach kształtowania się literatury amerykańskiej. O problemach, jakie ją nurtują i o ulubionych przez nią formach. Autorka jest adiunktem na Uniwersytecie Warszawskim.

Wiesław Mystek: **KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POLSCE W LATACH 1918-1939**. Zarys historyczny. Wwa 1966 KIW, s. 668, cena 21 zł.

Wynik gruntownych źródłowych badań autora. Książka omawia różne aspekty sytuacji Kościoła katolickiego w Polsce w okresie międzywojennym: sytuację prawną, majątkową i dochodową, organizację oraz stowarzyszenia katolickie działające w Polsce tego okresu.

PRZEZIKO FAŁSZOWANIU HISTORII II WOJNY ŚWIATOWEJ. Zbiór artykułów. Wwa 1966 KIW, s. 503, cena 21 zł.

Praca przygotowana przez Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR. Autorami artykułów są pracownicy Instytutu oraz inni historycy radzieccy zajmujący się problemami II wojny światowej. Argumenty ich wymierzone są przede wszystkim przeciwko historiografii zachodnio-niemieckiej.

HISTORIA KOMUNISTYCZNEJ PARTII HISZPANII. Wwa 1966 KIW, s. 342. Książka opracowana przez Komisję Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Hiszpanii. Ukazuje ona drogę, jaką przeszła Komunistyczna Partia Hiszpanii od swego powstania w kwietniu 1920 roku do swego VI Zjazdu w roku 1960. Mieczysław Forębski: **KUBIZM**. Wprowadzenie do sztuki XX wieku. Wwa 1966 PWN, s. 190, cena 10 zł.

Telewizyjna dyskusja nie była dyskusją, lecz kłótnią. Nawet nie kłótnią o racje ogólne, ale kłótnią o racje przez siebie reprezentowane. Wyłączyłbym z niej panów seanty-ków bez namysłu: byli sceptycyjni nie w sensie docieklowości, ale zacietrzewienia, wprowadzali bagatelę do rozmowy i balagan w padające sądy. O Kąkolu już powiedziałam swoje zdanie: wszystko wiedział lepiej; Koźniewski — a contrario — zdawał się nie wszystko wątpić, nawet w tak oczywiste prawdy, jak pozytywny dorobek Michała Anioła czy teorie kopernikowskie, uzasadniając rzecz wygodnym prawem do szczęścia ludzi naiwnych, które to szczęście ten dorobek właśnie zaprzeczają... O Muentzerze się nie wypowiadał.

Cóż dał plebiscyt? — Polskę, zapewnę, rozdyktowaną. Dobrze to, że rozdyktowaną na tematy tak ważne jak moralność i wzorce społeczny; mniej chyba dobrze, że nie wszystkie wzorce za takie mogą uchodzić. Natomiast przez sympatię dla znakomitego Zina, który na pewno umiałby dyskutować, ale kłócić się, niestety, nie potrafi — głosowałabym za Michałem Aniołem; przez szacunek dla niespokojnego umysłu, nieustającego w poszukiwaniu prawdy — rzucam swój głos za Kopernikiem. Czynie to przy tym z pełną świadomością, że znajduję się w grupie najliczniejszej! Co oznajmiamy, proponuję jeszcze wziąć powyższy przyczynek do plebiscytu Archimedeusza pod święteczną rozważę.

KRYSTYNA

Kultura na świecie

WYSTAWA DUNIKOWSKIEGO W MOSKWIE

Olbrymim zainteresowaniem cieszy się wystawa rzeźb Xawerego Dunikowskiego czynna w muzeum im. Puszkina w Moskwie.

Twórczość polskiego artysty jest dobrze znana publiczności i krytykom moskiewskim z licznych poprzednich ekspozycji. Szczególny zachwyt wzbudziła wystawa głów wawelskich Dunikowskiego, eksponowana w 1933 r. w Galerii Tretia-kowskiej.

Jednak żadna z dotychczasowych wystaw — pisze N. Poljakowa w recenzji zamieszczonej na łamach „Sowietskiej Kultury” — nie prezentowała tak rozległej i bogatej panoramy twórczości wielkiego artysty polskiego.

EDYCJA SZTUK RÓŻEWICZA W NRF

Nakładem wydawnictwa „Suhrkamp” ukazał się w NRF tom sztuk teatralnych Tadeusza Różewicza. Książka zawiera trzy utwory dramatyczne naszego pisarza: „Akt przerywany”, „Kartoteka” i „Grupa Laokoon”. Autorem niemieckiego przekładu jest Liika Boll.

Równocześnie w wydawnictwie kolońskim „Wolfgang Hake Verlag” ukazał się w bibliofilskiej edycji (tylko sto egzemplarzy numerowanych) wybór prozy Tadeusza Różewicza pt. „Spojrzenia”, ilustrowany oryginalnymi litografiami Pitta Mooga.

POCHWAŁA POLSKIEGO JAZZU

We Fryburgu odbył się ostatnio występ trzech polskich zespołów jazzowych — Kwartetu Namysłowskiego, Kwartetu Komedy i zespołu wokalnego „Novi”. Impreza, zorganizowana przez rozgłośnie „Suedwestfunk” pn. „Jazz w Polsce”.

Janusz Roś

KOLOROWE MYŚLI

Kłopot politeistów: komu mówić „pater noster”.

Więcej plag w rodzaju „Dżumy” Camusa.

Udzielajmy azytu zbiegom ekologiczności.

I śmiech hiemy bywa nauką. Zazwyczaj spóźniona.

Tak często kość niezgody ma na sobie ciało.

A niektórzy z wierzy Szopena kręcą fajarki.

Ileż rzeczy nie do pomyślenia wymyślił jeszcze ludzkie.

Najłatwiej, to iść przez ucho wielbłąda.

„Walkoń” — to strona bierna rzeczownika.

Zapowiada się wspaniale. Szkoda tylko, że elokwencja, to jedyna jego zaleta.

Są i tacy materialisci, którzy pieniędze uważają za przaprzyczynę wszechrzeczy.

Przyjmuje wszystko za dobrą monetę. Toteż sprzedają go za grosze.

Prekursorzy, to mistrzowie, których prześcignęli epigoni.

Całe życie była kopciuszkiem. Nawet teraz marzy o królestwie niebieskim.

Najwięcej strumieni gorczy pota- staje z braku koryta.

Łatwiej poznamy znajomych w karykaturze niż na fotografii.

Naiwność ludzka uszczęśliwia niebieskich ptaków.

Największy błąd w poszukiwaniu straconego czasu, to udawanie się w przeszłość.

Pewien baran opowiadał, że sły- szał, jak w noc wigilijną zwierzęta rozmawiały ludzkim głosem.

Teraz świat w każdej chwili mo- że stać jedną wielką pustynią. Już bez fatamorgan.

spotkała się z bardzo dobrą oceną tutejszej krytyki muzycznej. Wiele pism zamieściło recenzje, wysoko oceniając kunszt naszych jazzmanów. „Frankfurter Rundschau” napisał: „Polski jazz zalicza się do klasy światowej”.

„POPIOŁY” I „NIEKOCHANA” W SOFII

Na łamach czasopisma bułgarskiego „Narodna Kultura” ukazał się artykuł Christo Christowa omawiający wyświetlany obecnie w Sofii film Andrzeja Wajdy „Popioły”. Autor nie szczędzi słów uznania dla mistrzowskiej reżyserii Wajdy.

Na ekrany kin sofijskich wszedł również film Wojciecha Hasa „Niekošana”.

„COLAS BREUGNON” BAIRDA W PROGRAMIE ORKIESTRY BERLIŃSKIEJ

Berlińska Orkiestra Symfoniczna włączyła do programu jednego z koncertów dla młodzieży suitę w dawnym stylu Tadeusza Bairda „Colas Breugnon”. Utwór ten będzie wykonany 20 grudnia przez orkiestrę pod batutą Guenthera Herbiga.



STEFAN STOJAKOWSKI — reżyser Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” w Rzeszowie.
RYS. J. SIENKIEWICZ

Zdarzenia tygodnia

W niedzielę, 18 bm. w rzeszowskim WDK odbył się wieczór artystyczny z udziałem aktorów Teatru im. Juliusza Słowackiego z Krakowa: Lidii Zamkow, Leszka Herdegena i Wojciecha Ziętarskiego, zatytułowany: „Rozmowa o pieśni teatralnej i reżyserii”. Artyści interpretowali songi ze sztuk Brechta oraz adaptacje z „Cichego Donu” Michała Szulcowa.

W ubiegłą sobotę i niedzielę odbyła się w Rzeszowie, zorganizowana przez Zarząd Wojewódzkie SAiW, ZMS i WKZZ konferencja teoretyczna, poświęcona o mowieniu przemian w postawach swiatopoglądowych ludności wiejskiej w okresie władzy ludowej oraz form i metod pracy kół młodej racjonalistów, działających w szkołach średnich.

W zorganizowanym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Zarząd Główny Związku Teatrów Amatorskich Krajowym Zjeździe Miłośników Teatru uczestniczyła 6-osobowa grupa delegatów woj. rzeszowskiego. Jerzy Pleśniarowicz, kierownik literacki Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie został wybrany członkiem Krajowej Rady Miłośników Teatru.

W dniu 21 bm. odbyło się w Rzeszowie spotkanie przedstawicieli organizacji i instytucji, działających na wsi, poświęcone omówieniu założeń konkursu na najlepszy klub wiejski w 1967 r. Podobnie jak w ubr. warunki konkursu obejmują rozwój form pracy oświatowej, kulturalnej i artystycznej. Przebiegiem konkursu będzie kierował Wojewódzki Komitet Organizacyjny, na którego czele stanął znany działacz Wiktor Nowicki. Zainteresowanych informujemy, że sekretariat komitetu mieści się w lokalu ZW ZMM w Rzeszowie.

W dniach od 19 do 21 bm. odbyło się w Rzeszowie, zorganizowane przez WKZZ przy współpracy WDK, seminarium instruktorów pracy z dziećmi — placówek kulturalno-oświatowych oraz komendantów hufców ZHP. Tematyka szkolenia obejmowała zagadnienia pracy pozalekcyjnej z dziećmi i młodzieżą z uwzględnieniem współpracy placówek k. o. z szkołami i organizacją barską.

18 i 19 grudnia odbyło się w WDK szkolenie zaawansowanych instruktorów muzyki i konsultantów z terenu województwa (kierownicy zespołów muzycznych, instruktorzy PDK i ZDK), poświęcone problematyce zespołów chóralnych i instrumentalnych, obejmującej metodykę prowadzenia zespołów, dyrygowanie itp.

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Krośnieńskiej i miejscowe muzeum zorganizowały w dniu 18 bm. w Krośnie sesję popularno-naukową, poświęconą przeszłości powiatu.

W referatach przedstawione wiele nieznanych szerszemu ogółowi przyczynków do dawnej i współczesnej historii tego terenu.

PLAN WYDAWNICZY IBL

Plan wydawniczy Instytutu Badań Literackich na rok przyszły zawiera szereg ciekawych pozycji, które mogą zainteresować nie tylko historyka literatury i polonistę, ale także szerszy krąg czytelników.

Krystyna Sierocka jest autorką pracy „Z dziejów literackich Polonii w ZSRR 1918—1939”, poświęconej czasopiśmiennictwu, działalności kulturalnej, literackiej oraz wydawniczej Polaków przebywających w okresie 20-lecia międzywojennego w Związku Radzieckim. Książka ukazuje się nakładem PIW.

W tym samym wydawnictwie wydane zostaną — przygotowana przez Zbigniewa Sudolskiego „Monografia korespondencji Zygmunta Krasińskiego”, praca Aliny Kowalczykowej „Rozwój twórczości lirycznej Antoniego Słonimskiego w latach 1918—1939” oraz pierwsza część monografii „Twórczość Kasprowicza” pióra Jana Józefa Lipskiego.

W serii „Studia Staropolskie” ukazuje się nakładem „Ossolineum” m.

in.: Zofii Fiorczak „O regionalizacji literatury w XVI wieku”, Tadeusza Biełkowskiego „Fabularne motywy antyczne w dramacie staropolskim”, praca zbiorowa pod redakcją Cz. Hernasa „Z badań nad dramatem i teatrem staropolskim”. Romana Sobola „Ze studiów nad Karpińskim” oraz Juliana Platta „Sielanki Adama Naruszewicza na tle ówczesnej literatury sielskiej”.

Z serii „Biblioteka Pisarzy Polskich” („Ossolineum”) wydana zostanie „Komedya o Łazydnie” Paxilusa opracowana przez Juliana Krzyżanowskiego i Stanisława Rosponda. Tom zawierać będzie fotografię i transkrypcję tekstu oryginalnej tragedii religijnej, napisanej przez polskiego autora w języku łacińskim i współcześnie przetłumaczoną na język polski. W cyklu tym

ukaze się też pierwszy tom dramatów Jana Jurkowskiego, małego znającego pisarza, żyjącego na przełomie XVI i XVII stulecia.

Jeden z dwu tomów „Archiwum Literackiego” przyniesie nie publikowane dotychczas teksty oraz korespondencje Juliana Ursyna Niemcewicza, Jana Nepomucena Kamińskiego, Stefana Garczyńskiego, Cypriana Godebskiego, Alojzego Felickiego, Kazimierza Brodzińskiego i Konstantego Gaszyńskiego. Drugi tom zawierać będzie indeks korespondencji do Adama Mickiewicza.

Ukazać się też trzy tomy bibliografii literatury polskiej (tzw. „Nowy Korbut”) i 2 tomy współczesnej „Polskiej Bibliografii Literackiej” za lata 1950—51 oraz za rok 1964.

DWUTYGODNIK
POŚWIECONY
DZIECIOM
SARMATÓW

ALBOSMY TO CACY, CACY...
ISTNY CUD

Wszystko przez te przedświąteczne porządki. Wicher zapowiedział pogodę fatalną, szybkość wiatru 20 m na sekundę. Nie zatrzymało to jednak małżonki, która w tym dniu zabrała się do generalnych porządków. Nie ma o czym mówić, zawiął wiaterek przez uchylone okno i trzeba było pogodzić się z losami. Dostało się jak zwykle mnie:

— Jesteś cały z kośćmi! safandula. Grabczakowa głowa nie boli skąd wziął na święta synka czy rybę. W kolejkach nie stoi. Maż energiczny, zaradny, kiedy wyjeżdża na delegację w teren, nie wraca do domu z pustymi rękami. A ty co!?

— Była klęska urodzaju owoców, Grabczak za grosze kupił parę skrzynek jabłek. A nasze dzieci witamin by nie zjadły!

Gdy monolog żony się urwał, najmłodszy synek stanął w mojej obronie: — Mamusi, nie maltretuj tatusia, bo tatus jest jedynym gniebicielem rodziny.

Ten szlachetny rys charakteru najmłodszej latorośli tak mnie wzruszył, że wybaczyłem mu nawet przykrą pomyłkę, którą niestety z miejsca wykorzystała żona: — W tej sytuacji, kiedy jestem przykuła do łóżka (miała na myśli — boleści) niechybnie w czasie świąt zginiemy wszyscy z głodu albo będziemy musieli zjeść tatusia.

Ta perspektywa nie tak mnie przeraziła, jak ubodała. kiepski żart! I czy w ogóle przystoi w czasie wyjazdu na delegację, skupować towary pierwszej potrzeby? W duchu postanowiłem jednak pokazać co potrafię.

Na drugi dzień porozmawiałem z jednym przedsiębiorczym przyjacielem, co ma „Syrenkę”. Koszty wyjazdu postanowiliśmy pokryć po połowie. Jeszcze w tym samym dniu zadzwoniłem do pewnego znajomego z koła łowieckiego. Ugodniłmiśmy przyjazd na ostatnią niedzielę przed świętami. Znajomy bardzo się ucieszył i zapewnił, że polowanie będzie na medal.

Niedziela była wymarzonym dniem na polowanie, śnieżek przyproszył, lekki mróz skulił ziemię. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, oczekiwało nas całe bractwo. Znajomy z myśliwską galanterią wręczył nam fuszę i ruszyliśmy w stronę lasu w 9 strzelb i 5 osób nagonki. Wkrótce zająłem wyznaczone mi stanowisko i czekałem cierpliwie na szaraka. Czas jednak cholernie mi

się dłużył, zapaliłem więc papierosa. To był błąd nie do wybaczenia. Szaraki tylko mignęły mi przed oczyma, a gdy wreszcie ostatniego wzięłem na łurę i prowadziłem, nagle — psia jego mać... myślę sobie podziurawie rasową psinę i będzie smrota. Puknąłem sobie w powietrze. Dziury w niebie nie będzie, a nikt nie powie, że bałem się strzelać. Widocznie innym też czas się dłużył, bo ustrzeliliśmy tylko 3 zające.

Gospodarze okazali się rycerscy i wręczyli gościom po jednym. Honorowo mimo protestów sami zapłaciłmiśmy nagonkę. Myśliwi okazali się również niezwykłe gościnni i zaprosili nas na myśliwski bigos. Nie można było odmówić gorącym prośbom, zwłaszcza że wszyscy byliśmy zmarznięci. Jak przystało na ludzi honoru, my — goście, postanowiliśmy coś zafundować pod bigosik i na rozgrzewkę. W czasie myśliwskiej gawędy czas mijał szybko. Nie wiem skąd mi się to wzięło. Ale po kilku jajowcówkach i ja okazałem się tegim myśliwym, zwłaszcza gdy pokazałem zdjęcie pewnego czerwonego kapturka, któremu uratowałem życie, kładąc jednym celnym strzałem potężnego basiora. Co tu dużo mówić Czerwony kapturek zrobił tak silne wrażenie na braciach myśliwych, że zostałem bohaterem wieczoru. Przyjacieli od „Syrenki” tak ululał się z żalu, że musieliśmy wracać z naszymi trofeami nazajutrz.

Nie mniej interesująca była moja wyprawa do znajomego hodowcy po świątecznego karpia. Znajomy witając nas serdecznie, poczęstował nas smażonym karpem zapraszając:

— Jedzcie ryby, będziecie zdrowi jak ryba. Potem filuternie przymrużył oko i dodał:

— Rybka lubi pływać.

No i... popłynęliśmy!

Ale pokazałem, co umiem. Na moim świątecznym stole nie braknie ani karpia, ani zająca. Wczoraj żona powiedziała do dzieci:

— To istny cud, tatus stał się przedsiębiorczy i troszczy się o rodzinę.

Podniosło to ogromnie mój autorytet jako głowy domu. Martwi mnie tylko miew drobiazg. Gdzie pożyczę parę setek, aby pokryć nieprzewidziane wydatki mojej przedsiębiorczości. Gdy sobie o tym pomyślę, czuję się jak karp wyjęty z wody.

